



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie;

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

AMBICJA.

Ambicja — jest to w pospolitem znaczeniu tego wyrazu taka wyniosłość ducha, przez którą człowiek nie zadawalnia się już cichą, spokojną pracą w zakresie obowiązku i, pragnąc wybitnego między ludźmi stanowiska, chce stać wyżej niż inni, tam, gdzie już, nie ginąc w tłumie, jest po nad niego wyniesionym. Są przecież różne gatunki ambicyi i gdy nie jest to głównie miłość własna — gdy cel zabiegów ambitnych jest wzniosłym, uczucie to staje się wzniosłym również i mierzy wysoko, więc odtrąca to, co niskim jest i pospolitem, pragnie sfery życia wyższej, pragnie dla wzroku swego przestrzeni szerokich i podejmuje dla tego trudy, walki, prace, które nie przechodzą bezowocnie dla ogółu, bo sam przykład dążeń wzwyż już porusza w sercach ludzkich instynkta wzniosłe. Jest tu przecież i szkopuł pewny: są ambicyusze mało szlachetni i gdy tacy tryumfują — gdy dobijają się stanowisk wyższych, uczucie sprawiedliwości wśród ogółu cierpi i ogarnia ludzi uczciwych zniechęcenie smutne, z którym przecież walczyć im należy. Niech zaeni, z miłością szlachetnych celów w piersiach, nie trzymają się na stronie, niech stawają w pierwszym szeregu tych, którzy postęp niosą, a dobrze dziać się będzie na świecie.

Nie należy ludziom zatłumiać w sobie ambicyi uczciwej, bo uczucie to musiałoby obniżyć się w społeczeństwie a przecież potrzeba, aby tak nie było — potrzeba, aby istniało ono w wielu piersiach, aby piersi te podnosiły się pod siłą gorących serca uderzeń. Jak Krzyżowcy nazywali się rycerzami bożemi, tak służą bożym i służą ogółu swego jest każdy człowiek taki, który, stawiając

przed sobą cel szlachetny dąży do niego z pragnieniem gorącym, aby na życiu jego nie było żadnej plamy, skazy żadnej, aby życie to przedstawiało się ludziom w jasnym świetle uczciwości takiej, która nie znosi nawet pozoru — cienia złego.

Nazywamy to pospolicie uczuciem honoru, a jest to poczucie godności naszej osobistej, nie pozwalające na pewne postęпки, pewne czyny, które, choć nie są wręcz tak złemi, aby obwiniały już, wykazują jednak nastrój uczuć i pojęć mało podniosłych, więc stawiają nas w rzędzie ludzi niższych, i często łatwiej można przebaczyć przewinienie już pod siłą jakiegoś uniesienia, jakiejś namiętności popełnione, niż taki niski nastrój pojęć i uczuć, które każą człowiekowi pełzać przy ziemi, gromadząc tylko skarb dóbr materialnych.

Każdy z nas poznać to może na sobie samym po tej odradzie, jaką uczuwa wobec zetknięcia się z osobistością taką, ale jest trybunał wyższy jeszcze, niż opinia ludzka — sumienie, przed którym człowiek nie już ukryć nie zdoła, bo sędzia jest tu zarazem świadkiem. Opinia wyrokować może jedynie na podstawie czynów spełnionych, ale sumienie zna ich powody — motywa, które tu działały, zna zamiary nawet, które skutku nie wzięły, a człowiek uczciwy dba nie tylko o opinię ludzką. Ważniejszą dla niego rzeczą jest, aby mógł szanować samego siebie, bo kto dumnym jest i wyniosłym, w szlachetnym znaczeniu tego wyrazu dostojnym, nie może przystać spokojnie na to, aby gardził sam sobą i we własnych też oczach musi widzieć się lepszym niż tłum pospolity — wyżej sięgającym. Dlatego pragnie mieć zawsze przed oczyma podniosły ideał człowieka, któremu chce dorównać, i gotów jest każdej chwili raczej ponieść ofiary najcięższe, niż zestąpić niżej a w sercu własnym ma on świadka, niedającego się przekupić, który zna wszystkie jego słabości, lecz zarazem

i pragnienia, chęci jego dobre. Dlatego też odpycha dumnie wszystko, co mogłoby go poniżyć, i radością jego duszy jest, gdy z postępem czasu czuje się lepszym, szlachetniejszym.

Dzieje się tak zawsze z ludźmi, którzy w głębi swojej pragną rzeczywiście dobra i sprawiedliwości. Młodość szlachetna mierzy wysoko, kocha w enocie ideał człowieka podniosły, ale życie wystawia ją na próby, w których hartuje się i wyrabia; jeżeli też zdoła zapanować nad niższymi instynktami człowieka, jest wtedy jak to żelazo, które w ogniu na stal się przerobiło i poszanowanie, jakiego wiek starszy od młodego wymaga, ma tu podstawę swoją. Ambicyą młodości jest nabywać, wieku starszego zachowywać to, co młodość z pragnieniem dobra w sercu tu złożyła, a doświadczenie życia tylko umacniać nas powinno w tych kierunkach uczuć i myśli, których ideał przedstawił nam się w blaskach młodych uniesień. Entuzjazm młodzieńczy niech się przetrwoczy w siłę przekonania: a nie ubędzie człowiekowi nie z tych uczuć, które były ambicyą jego w wiosnie życia.

Człowiek, którego serce nie umie uderzać gorąco jest istotą niższego gatunku, a można dodać: i mniej szczęśliwą od ludzi, którzy posiadają zdolność kochania, bo kochani wzajemnie, odbierają te dowody miłości, które dają nam szczęście życia najwyższe — szczęście serca. Ambicya przy braku uczucia jest siłą niebezpieczną, bo pracuje jedynie na wyniesienie własne. Jak ów w bajce most szklany, który przebywać trzeba, aby dostać się do zaczarowanego pałacu wszelkiego piękna i wszelkiej szczęśliwości, tak ambicya staje nam się wobec takiego stanu niebezpieczną drogą po nad przepaścią, i wtedy tylko, gdy pojęcie życia szlachetnie dumnie łączy się z uczuciem powinności, człowiek ma pod nogami grunt życia mocny a wzrok jego, zwrócony wzwyż, znajduje tam przewodniczącą mu gwiazdę jasną.

Ale nie wszyscy możemy być na jedną modłę urobieni; natura człowieka rozkwita w tysiące form dobra i piękna: jest więc i tysiące pożądań przyłożenia tu ręki do pracy i zdobyczy ubogacających ludzką, więc i tysiące kierunków ambicyi musi stawać przed wzrokiem człowieka, budzić się w jego piersi. Nie godzi się też wychowaniu porywać na te siły wewnętrzne, które człowiek przynosi na świat ze sobą i z których użytku będzie zdawał rachunek przed Bogiem i ludźmi — przed duszą własną. Była droga nie była krzywa, byle nie wiodła szlakiem poziomym, nie godzi nikomu wykolejać z niej istoty młodej. Niech dąży tam, gdzie natchnienie własne cel jej wskazuje, i złą, fałszywą jest ambicya rodziców, którzy wedle swego pojęcia o szczęściu chcą życiu dziecka wyznaczać tor przymusowy.

Jest to łożo Prokrusta, na którym rozciąga się istotę młodą; że przecież natura ludzka posiada szlachetną siłę natchnień i uzdolnień własnych, w duchu jej złożonych — że posiada przeciwko gwałtowi odporność wewnętrzną, więc nie się tu i nigdy przez taki przymusowy kierunek wychowania nie zyskuje, lecz przeciwnie, wynika ztąd szkód nie mało, bo niejedno życie zwichniętem zostało przez nieroztropną jakoby roztropność — przez fałszywą ambicyą, lub mylne wyrachowanie rodziców. Nie można tak urabiać ludzi, jak odlewa się w danej formie posągi, i wychowanie tak pojęte według planów ambicyi, lub pojęć rodzicielskich o szczęściu, jest gwałtem przeciwko któremu protestuje tak rozum, jak natura człowieka, jego wola wolna, której łamać nie godzi się nikomu.

Kto jest wstanie zaręczyć rodzicom, że ich dziecko będzie szczęśliwym według modły życia, siłą mu narzuconej? Obowiązkiem wychowania jest młodą istotę do cnoty, do szlachetnych pojęć o życiu urobić, dać jej takie moralne i intelektualne zdrowie, aby trudy obowiązku znosić była zdolną; a rozwina się w niej samoistnie te moce szlachetne, z których rodzi się w piersi ludzkiej dążność do celów życia górnych — ambicya.

M. I.

POGAWEŁDKA.

Nim pogawędka dzisiejsza dojdzie do rąk szanownych czytelników i czytelników moich, już mię rumak żelazny, dyszący skrami i parą, uniesie hen precz, za lasy i góry, pod inne niebo i słońce, gdzie pierś innem odetchnie powietrzem, gdzie ludzie mnie inni otoczą, a może i serce dozna wrażeń innych, pełniejszych, lepszych.

Nie dziwiecie się tej chęci wylotu, temu pragnieniu zmiany miejsca i otoczenia.

Gdyby mi przyszło porzucić na zawsze lub na bardzo długo poczciwe mury Warszawy, zatuszowałbym do niej, zatuszował do jej kurzu i bruku, do jej nieustannego łoskotu, do swego biurka wreszcie, przy którym się przesiadywało noc niejedną, przemarzyło tyle, trochę szczęścia, trochę cierpienia zaznało. Bo to może nie wiecie, szanowni czytelnicy nasi, że macie przed sobą dziwne stworzenie, które się całym sercem przywiązuje do ludzi i do miejsca. Przywiązanie do miejsca — nie zaprzeczę — graniczy może z dziwactwem pewnym. Nie mówię o mieście, domu; ale się ono tyczy nawet kąta w pokoju, w którym się wysnuło snów trochę i napelnilo wspomnieniami. Nie pojmuję, naprzykład, tego zamiłowania warszawiaków do corocznych przeprowadzek. Wiem, że szukają przestronniejszego lokalu, wygodniejszego mieszkania — pakują więc swoje Lary i Penaty i do innego przenoszą się gniazda; inni to robią wprost z zamiłowania szwedalskiego. Ha, możebym i ja zmienił swoją jaskółczę na trzeciem piętrze mieszkanie na coś szerszego, wyższego, piękniejszego; uczynił-

bym to jednak z przymusem pewnym, pod naciskiem blizkich a drogich mi osób, pragnących nieco większej wygody. Żal-by mi jednak było, ot — choćby tej pajęczyny w rogu mojej pracowni, pod samym zawieszonym sufitem, z której czasami na nitce cienkiej opuszcza się pająk szary, zawisa tuż przedemną, kołysze się, jakby się wahał, czy mu pozwolę spaść niżej, na tej lub na owej książce usiąść, po niejednym przejściu się rękopisem, może odczytać wierszy parę zaczętego dramatu, nieukończonego poematu...

Czego ty się lękasz, pająku szary, stary, dobry mój przyjacielu, towarzyszu niejednej nocy bezsennej, jedyny czuwający świadek marzeń moich, pozostający w tej ciszy nocej?...

Czego ty się lękasz?...

I wiecie, że bać się przestał, że czasem mi się zsunie na ramię, na czoło; przejrzy tytuły wszystkie tylko co nadesłanych książek i spaceruje sobie po stole, ten cichy, tajemniczy mieszkaniec mojego pokoju: oswoił się ze mną, i wraz ze mną przywykł do nocnego czuwania. Niedawno usiadł na samym brzeżku papieru, na którym pisałem, i śle dził z zajęciem szybko pomykające pióro. Nie zastraszał go ruch mojej ręki, ni skrzywienie spisanej stalówki; z całą powagą przypatrywał się tej pracy.

Ot — i choćby dla tego pająka nie radbym ten kąć swój porzucił; brakłoby mi tego milczącego towarzysza; szukałbym go, czułbym się osamotnionym.

Nie myślcie jednak, że jego milczenie wymownem nie jest.

O, nie!...

Pająk — to obywatel świata, mieszkaniec podniebnych sfer, milczących ruin i grobów zapomnianych. To pan, mieszkający w pałacach, to nędzarz, po poddaszu się snujący; to syn wolności, tchnieniem wiatru niesiony w przestworza błękitne, i więzień osnuwający kraty żelazne. Poeta i muzyk, uczony i lekkoduch — czem chcecie, wszystkim jest pająk. A teraz poproście go, by was zaprowadził do krain przez siebie zwiędzanych; niech was wiedzie w milczeniu — wy idźcie za nim, bez obawy tylko, bez drżenia, bez trwogi...

Al!

Czuję bicie serc waszych... Prawda, w jakie on was światy prowadzi?...

A czy choć słówko wam szepnął?...

Nie!...

To milczący przewodnik, ale tam, dokąd on was wiedzie, budzą się echa i szepta wam historie dziwne.

Patrzcie! oto usiadł w załomie gżemsu balowej sali. Wir, zamęt, szal... Sto serc bije, sto snów się rodzi i marzeń tyle, rozwianych może z pierwszym połyskiem słońca... A oto spłynął na odłamek głązu opuszczonego jakiegoś zameczyska; usiadł w pustym wylocie baszty i patrzy daleko — w przestrzeń...

Co?...

Pająk milczy — a obłok nad czołem waszym przemknął, zaszumiał wiatr dziwnie i zasypane w gruzach echa rozbudził.

Noc — noc majowa, wonna, srebrna... Pusto w bluszczowej altanie, tylko zawieszony na nitce swojej stary się pająk kołysze, a cień jego pada na ławkę kamienną, oplecioną zwojami powoju. Zatrzymaj się chwilę w tej dziś już pajęczej siedzibie...

Altana... bluszcz... noc księżycowa — róż zapach, cichy szmer liści...

Wzdychasz...

Owionęło cię tchnienie łube, rozkoszne, miłosne jakieś.

Zkąd ono?

Pająk nie powiedział nic, tajemniczy niczyjej nie zdradził.

A widzisz?

Lecz nie myśl, że to pan wybredny, szukający balowych sal — marzyciel, zakochany w ruinach, róż pieszczoch, kochanek altan bluszczowych. Czasem opuszcza on błyszczące pałaców sale i na stałą siedzibę obiera sobie wilgotne nory suteryny.

Wzdrygnął się...

Przeraziła cię nędza kryjących się tam ludzi, twarze wychudłe, oczy patrzące z zawzięcią na wy-

brańców losu. Przebiegasz koleje ich życia, czytasz myśli, chcesz poznać pragnienia, zamiary, czyny.

Zbielało ci czoło?...

Czy pająk szepnął coś tobie?...

Nie! — On tylko cię zawiódł w oddalone dzielnice wielkiego miasta; przez szczeliny muru, którejdy wiatr i on tylko wchodzi — weisnął myśl twoją; on milczał — a tobie pot operla skronie.

Czy pójdziesz dalej?...

Wahasz się...

Al! chciałbyś bluszczowej altany, sali balowej?

Niestety!

Suteryn więcej!...

Opuściłeś głowę na piersi, tysiące myśli do duszy twej się tłoczy, tysiące pytań rzucasz: a nie wiem, czy choć jedną znalazłeś odpowiedź. Spoważniałeś — na jedną sekundę, na jedno mrugnięcie powiek może, a przecie pająk nie ci nie powiedział.

Nie dziwiecie się więc, że z tym milczącym towarzyszem, który dom sobie usnuł w kątku mojego pokoju, rozmawiam bardzo często; że nie pozwałam ruszać tej pajęczej siedziby, że gdybym był zmuszony do innego domu się przenieść, do innego pokoju — tęskniłbym za pajakiem. Jemu zawdzięczam niejedną myśl, którą dzieliłem się z wami, niejedną nutę rzewnej piosenki, która mi na usta wybiegła, niejedną czynkę przynoszącą ulgę zboliałemu sercem i umysłem zbłąkanym; jemu zawdzięczam i pogawędkę dzisiejszą, czy jej początek, bo, gdzie się skończy i — czy się skończy — sam nie wiem. A jednak źle powiedziałem: skończyć muszę; skończyć muszę, choć senne oko się mruży, choć myśl zmęczona dopomina się o spoczynek; skończyć muszę, bo ukochany towarzysz nocy moich bezsennych, nieraz mi dawał dobry przykład pracy i wytrwałości.

Ach! gdybym miał zdolności pająka, nie zasiadałbym do szpalt różnych dzienników, czerpiąc z nich wiadomości o codziennych, a tak marnych wypadkach życia ludzkiego; snułbym sobie nie długą i, to rzucałbym ją na wolę wiatrów, to gdzieś zawieszał, choćby na gżemsach balowej sali, albo w altanie okrytej zielonemi splotami bluszczu. Lecz pajakiem nie jestem; czego innego zresztą wymaga kronika dni bieżących.

Maluczko, a po sezonie ogórkowym nastanie kalendarzowy sezon. Dowcipy posypią się, jak z rękawa, często wśród nich spotkamy starych, dobrych znajomych, i — kto wie — czy te są nie najlepsze. Na pierwszy ogień wystąpiła „Mucha“, z *Facetem*, ale tego *Faceta* nie dotknęły pociski zoilów; przeciwnie, przy odgłosie hymnów pochwalnych, z tryumfem wszedł na półki księgarskie. Główną zaletą *Faceta* ma być — jak to powiedział pismo jedno — przyzwoitość treści i rysunków. Treści nie znam, bom ptak na wylocie, ale rysunki podpadają same pod oczy.

Rzeczywiście — są bardzo przyzwoite.

„Helena w stroju niedbałym“ toż przecie nie żadne zgorszenie, a choć ten strój ogranicza się tylko na pewnym przedmiocie ubrania niewieściego, o którym mówić nie wypada — cóż to za nieprzyzwoitość?... Nie można przecie powiedzieć, że książka jest bez okładki, jeżeli onej okładki ślad pewien pozostał?

Zupełna słuszność!

Niech tylko ujrzanym mimochodem przemennie rycinom i treść odpowie, a „*Facet*“ zupełnie przyzwoitym kalendarzykiem będzie.

— Ależ, mój łaskawco — kalendarz humorystyczny nie jest książką do nabożeństwa.

— Doprawdy? — Ot, bez tej uwagi szanownego kolegi, nic o tembym nie wiedział.

— Jednakże powyższy zarzut?

— Komu uczyniony?

— *Facetowi*...

— Przepraszam — tylko sprawozdawcy. Wiem, bez łaskawej uwagi szanownego kolegi, że zadaniem owych kalendarzowych wydawnictw jest humor, dowcip, ze swawolnym nieraz żartem połączony. Takiemu panu wiele się przebacza, bo też się niezbyt wiele wymaga od niego; ja radbym tylko wiedzieć jaką: rycinę, naprzykład,

szanowny sprawozdawca z *Faceta* nazwałby nieprzywoitą? Do *Faceta* pretensji żadnej nie mam: tego i tego rozśmieszyl—i spełnił swoje zadanie. Czegoż chcecie więcej?

Prawda, że trudno być sprawozdawcą, chociażby z *Faceta* nawet, w dzienniku, gdzie wszystko zależy na pośpiechu, na chwytaniu w lot wiadomości, bez możliwości sprawdzenia jej na razie. Pełz-to razy czarne wyszło białe, a zielone czerwono! Tak też się miało i z posągami Chrystusa, zdobiacym krużganek świętokrzyskiego kościoła.

Piękne dzieło rzeźbiarskie psuje się; zwrócono na to uwagę i powstała myśl, by cementową postać Zbawiciela w bronz zamienić. Artysta już ofiarował pracę bezinteresownie, już były czyjeś i jakieś pertraktacje z p. Pruszyńskim; ale rzecz cała rozbiła się o coś, prawdopodobnie o brak funduszu na odlew brązowy.—Wiadomość ta niemiłe nas dotknęła, ale wnet znalazła się pociecha. Fundusze spadły z nieba, artysta już z zapalem wziął się do dzieła, i patrzeć tylko, jak nowy posąg dźwigającego krzyż Zbawcy pięknym, brązowym obliczem ku niebu spojry. Błogosławiliśmy w duchu niespodziewaną ofiarnością jednostki, czy — tak szybko — ogółu, aż oto ostatnie wiadomości zimną nas wodą oblały. Nikt nie traktował z p. Pruszyńskim, o niczem podobnym nowy nie było.

Zkąd więc owe wieści?...

To już są arkana reporterskie, o jakich nie śniło się naszym filozofom.

Ciekawe też od pewnego czasu pojawiają się głosy *pro* i *contra* wodoleczniczego zakładu ks. Kneippa w Wörishofen.

Każda nowość, a szczególnie nowość powracająca ludziom zdrowie, mile jest witana przez ogół, zwłaszcza przez ogół dzisiejszy, schorowany, zdenerwowany, na przeróżne dolegliwości cierpiący. Tym dolegliwościom, bez względu na ich naturę i rozmiar, miała zaradzić, znana dziś już powszechnie, metoda ks. Kneippa. Książka samego wynalazcy, traktująca o tym przedmiocie, świadectwa cudownie uzdrowionych, przyczyniły się do wielkiego onej metody rozgłosu. To też, gdy otwarto zakład w Wörishofen — pojawiła się niezmierna moc kuracyszów pragnących nadwątlone siły wzmożyć, utracone odzyskać. Czy ślepi przejrzeni, głusi słyszeć zaczęli — trudno wiedzieć; ale sława zakładu knajpowskiego rosła, i mało znalazło się takich, którzyby wątpili o jego uniwersalnym, leczniczym środku.

Aż oto jeden z kuracyszów, w liście z Wörishofen, pisanym do „Kuryera Warszawskiego“, odziera wierzących z wszelkich illuzji. Mowa tam o niesłychanych nadużyciach miejscowych włościan, którzy zakład w swoje ręce wzięli, o drożyznie, wyzysku, małej skuteczności osławionej metody, i tak dalej, i dalej.

„Przyszła kréska na Matyska“ — odezwali się niektórzy, — wiedzieliśmy dawno o tem, że taki rezultat będzie knajpiady.“

Aż oto znów „w Słowie“ p. Aniela Kamieniecka głos zabiera i kruszy kopią w obronie Wörishofeńskiego zakładu: o żadnych nadużyciach nie wie, o wyzysku nie słyszała, z wygórowanej drożyzny staje się taniósć przyjemna, z włościan enota kapie, a co się tyczy leczniczej skuteczności metody, to ten chyba umiera, kto sam chce tego. Ponieważ zaś takich jest nie wielu, wszyscy się więc cieszą doskonalem zdrowiem i nie na żarty o matuzalowych latach szeptają.

Pan *tak*, a pani *tak* mówi...

Wo ist die Katze?

Nam się zdaje, że daremnie tego kota szukać będziemy.

— Przecież dwóch prawd być nie może?

— Tak — ale może nie być żadnej.

I w tym razie, zdaje nam się, że tak jest. — Pan za czarno, pani za biało widzi; tymczasem jest to sobie, ot — zwyczajnie — ni to, ni owo. Kto ma nerwy rozstrojone, temu woda i chodzenie na bosaka po łąkach zroszonych — pomoże; komu wątroba stwardniała, że krzyczy w niebogłosy, ten, choćby wszystkie łąki na kuli ziemskiej wy-

deptał — innej nechwycić się musi metody. Ale u nas tak: starosta albo kapucyn! Tymczasem jest to sobie zwyczajny furtyan.

BEZ WOLI

POWIEŚĆ

przez

WANĘ GROT. BĘCZKOWSKĄ

(Dalszy ciąg)

VII.

— Stasiu kochany, chciałabym pomówić z tobą — rzekła dnia pewnego matka. — Nie chciałabym cię zmartwić, ale...

— Śmiało, śmiało mateczko, — odparł uśmiechniony. — Czy nie nowy jaki wybryk mojej Lili?

Wyglądał już teraz znacznie lepiej i czuł się doskonale.

— Nie, mój drogi!... To jest... nie wiem, jak ci powiedzieć, ale mam trochę przykrości z interesami...

— Cóż takiego, matko? — przysunął się do niej zaniepokojony. — Bo to źle, mateczko, że ty przez dobroć swoją zanadto mię oszczędzasz...

— Chory byłeś... — szepnęła. — Jakoś sobie w Kwapiewiczem dajemy radę, a ten nieoceniony Borzycki dopomaga nam dzieła.

— Tak, tak, — potwierdził Stanisław. — Nic mu zarzucić nie można. Nie ginęliby też obywatela tak, jak giną, gdyby takich sumiennych pracowników mieli. Mój Borzycki to kruk biały. Serdecznie się do niego przywiązałem.

— A bałeś go się wziąć... — uśmiechnęła się matka.

— To rzecz inna. W jego uczciwość, pracowitość, wysokie wykształcenie, wierzyłem od początku. Znałem przecież jego brata, z którym kollegowałem w uniwersytecie, kochałem go i ceniłem wysoko: przyjmując więc Michała, czułem się nieco skrepowanym oczywiście, tylko ze względu na Lilę i tę nieznośną Dolewską. Ta kobieta krew mi psuje codziennie... No, ale dzięki twemu taktowi, matko, ułożyło się wszystko jaknajlepiej. Pani moja wcale nie krzywi noskiem, gdy „pan rządcą“ siada z nami do stołu i traktowany jest na równi z jej arystokratycznymi gośćmi.

Kamieniecka uśmiechnęła się.

— Dolewska zaczęła uważać go za człowieka dopiero od chwili, gdy się dowiedziała, że rodzona siostra jego matki jest skuzynowana z hrabią Zenonem, — rzekła.

— Trudno, niestety, czego innego od niej wymagać, — uśmiechnął się Stanisław. — Ale wracajmy do interesów, mateczko. Co chciałaś mi powiedzieć?

— Widzisz, mój drogi, — rzekła, wahając się — coraz mi trudniej utrzymać dom na stopie odpowiedzialnej wymagamom twojej żony. Lękam się, jaki koniec będzie tego wszystkiego. Kamieniecki nie wytrzymają długo takiego naprężenia. Summy wydajemy. Czyż konieczne potrzebne ustawiczne bale, najazdy, zebrania?.. Sama jestem za tem, aby Lila się nie nudziła, ale — wszystko powinno być w miarę. Macie przecież dzieci, córki zwłaszcza... Cóż to będzie?

— Uspokój się, mateczko — odparł. — Myślę sam o tem i muszę przeprowadzić reformę. Tylko z Lilą przychodzi to z trudnością... Trzeba bardzo powoli i nieznacznie... Czy mama nie z nią dotąd nie mówiła?

— Uchowaj Boże! Lila i tak uprzedzona jest przeciwko mnie... Najlepiej będzie, gdy sam to załatwisz... — Wzięła ołówek, rozłożyła papiery, które przyniosła z sobą, i spojrzała smutno na syna.

— Tak mi przykro, że ci muszę tem głowę zaprzętać. Raty Towarzystwa znów zalegają, podatki nie zapłacone, kapitału już nie mamy, i pożyczycie trudno... O Stasiu!... wybuchnęła z bezmiernym zalem. — Kamieniecki przecież muszą przy nas pozostać. Nie możemy oddać tego kawałka ziemi nikomu. Jabyśmy tego nie przeżyła!..

— Któż o tem myśli, mateczko? — rzekł złamanym głosem. — Kamieniecki muszą zostać dla naszych dzieci... Ach, czemuż nie mam syna! On — by odbudował, odzyskał to, co ojciec, nie przez lekkomyślność, ale przez brak woli utracił.

Potarł czoło ręką i posępny wzrok zwrócił ku oknu. — Nie możemy oddać Kamieniecki, matko, nie możemy... — powtarzał i szybkim ruchem otworzył okno. Sierpniowe słońce z całym bogactwem złocistych promieni wpadło do pokoju.

W tej świetlanej aureoli kapały się pola, łąki, drzewa i stawy, kapał się las, jak ciemna zwarta massa, widniejący w oddali.

Stanisław w tym krajobrazie zatonał cały. To było wszystko jego. Do niego jeszcze należał ten las, z którego się pysznił, znacznie już szarpnięty wprawdzie, ale o tem myśleć teraz nie chciał, rozkoszując się widokiem tych olbrzymów, co nieporuszone stały przed nim jakgdyby na straż, dumne, wspaniałe, urągając tej niszczącej sile, któraby ich z podstaw ruszyć mogła.

Stanisław patrzył długo, wzrok zamglili mu się łzami. Rój gryzących gorzkich myśli, całą falą wspomnień w niego uderzył.

Cóż on dotąd zrobił, dla tej ziemi która rodziła dla niego, dla ludu, któremu powinien być ojcem, dla matki, którą przecież gorąco kochał, dla swoich dzieci wreszcie?..

Trzy części tej pięknej ziemi zmarnował po hotelach i willach zagranicznych, bogaci modniarki, pozwolił wysysać sobie kieszeń endoziemcom, śmiejącym się poza plecami z niepraktycznego Polaka. A czyż to tylko tyle! Czyż nie zmarnował sił młodzieńczych, nie spętał ducha, rwącego się przedtem do czynu, czy nie zaparł się swych przekonań? Tak. I on, choć w inny sposób, powiększył zastęp tych ludzi słabych, bez woli, zrujnowanych, zblazowanych paniczów, którzy, zaszargawszy honor i mienie, gniją potem w atmosferze nędzy i wyrzutów sumienia.

Czuł głęboko, pojmował wszystko, tracił zdrowie, a na siłę woli zdobyć się nie potrafił. Jeden uśmiech Lili, pieszczota, której zawsze łaknął mu kazała, wyraz „kocham“, drżący na jej purpurowych ustach, a wymawiany tak rzadko, zagłuszał mu świat cały, i nie już wtedy nie pragnął, niczego nie pożądał, byle mieć ją przy sobie zawsze, ją tylko, ją!.. Wszystko na ołtarzu tej bałwochwalczej miłości złożył, nawet — o zgrozo!.. przyszłość matki swej i dzieci...

Sam nie wiedział, kiedy się to stało, i obejrzał się dopiero w pamiętny ów poranek, który się chorobą jego zakończył.

I stojąc teraz u okna z zamglonym od łez wzrokiem, wobec bogatej, kąpiącej się w złocistych blaskach dnia sierpniowego, rozciągającej się przed nim przyrody, uczuł się takim nędznym, skarłałym, iż bezgraniczna rozpacz targnęła go za serce.

— Nie, tak być dłużej nie może! poszepnął. — Ratować, ocalić Kamieniecki za jakąbądź cenę! Pracą i oszczędnością przebłagać duchy przodków, dać matce zmęczonej trochę spokojnej starości, zapewnić przyszłość córkom...

Odwrócił się nagle. Wesoły promień słońca ślizgał się jeszcze po jego bladym, wyłysiałem czole, odbił się w wilgotnych oczach i zapalił ogień dawno niewidzianej w nich energii.

— Matko, — rzekł twardym głosem, który nie dopuszczał opozycji. — Proszę cię, matko, pozwól mi zacząć działać... Nie mogę przecież pozostać nadal niemym świadkiem, gdy wszystko wkoło mnie kruszy się i upada. Znam twoje poświęcenie, widzę nad-

ludzką niemal pracę i wysiłek, i widzę również, jak moja żona paraliżuje twoje chęci... Jestem już zdrowszy o tyle, że radę przy pomocy Kwapiewicza i Borzyckiego dać sobie potrafię... Nie może być inaczej! Lila poznać nareszcie musi, że położenie nasze stało się prawie groźnym... Oddaj mi papiery i rachunki, droga matko; pokaż mi wykaz tego, co nam jeszcze zostało, i nie lekaj się o mnie. Zadługo odpoczywałem.

Był wzbudzony i pobladł; matka przelekła się o niego.

— Dobrze Stasiu, odparła pośpiesznie. Przygotuję ci wszystko i oddam... Bylebyś tylko...

Syn wziął ją w objęcia.—Nie mów nic, matuś... szeptał, — nie mów...

— Ach jakaż to czuła scena! — zabrzmiał we drzwiach żartobliwy niby głos Lili.

— Mama nanowo rozpieszca jedynaka, a on już i tak nieznośny...

Rzuciła okiem na rozłożone papiery na biurku.

— Aa!.. interessa, rachunki, to grecczyzna dla mnie!.. — Uśmiechnęła się kącikiem ust. — Zapewne przeszkadzam? Państwo, radząc o interesach, chcą, oczywiście, być sami... — Zaakcentowała mocno ostatnie zdanie; Kamieniecka zarumieniła się...

— Ówszem, Lili; jeżeli tylko zechcesz, możesz nam być nawet pożyteczną... Powinno cię to przecież interessować,—rzekła.

— Któż twierdzi, że tak nie jest? — odparła z wyzywającą miną, Lila.—Ale ponieważ zawsze wtedy czuję się „de trop“ więc...

Kamieniecka szybko powstała. — Ułożę ci wszystko systematycznie i oddam jutro—rzekła do syna.

— Muszę rozmówić się zaraz z Borzyckim. Gdzie są dzieci, Lili? — spytała łagodnie. Ale piękna pani była zirytowana.

— Nie wiem,—odparła sucho.—Mam chyba na to bony i guwernantki, aby ciągle głowy sobie dziećmi nie zaprzatać...

Matka wyszła. Za drzwiami dopiero przystanąła i odetchnęła mocno. Czuli się już wyczerpaną doszczętnie. Ustawiczna wojna z Lilą, z Dolewską, z guwernantkami, kłopoty, spadające zewsząd na jej skołataną głowę, to przechodziło jej siły.

Dotąd musiała zamykać oczy i uszy na wszelkie wybryki Lili, nawet dług zaciągnięty na hypotekę Kamieniec z okazji sprowadzenia z zagranicy mebli, odrestaurowania dworu, aby koniecznie do nazwy pałacu mógł rościć sobie prawo, i innych podobnych innowacji, zniosła z lekkim sercem.

— Byle mi Stasia nie uwoziła z domu—szeptała z trwogą, odpowiadając ostrzegawczemu głosowi, który ruinę nasuwał jej przed oczy.—Zmarnowałaby mi biedaka, a i z dziećmi nie byłoby lepiej...

Życie w Kamieńcach płynęło teraz szerokim korytem. W pierwszym roku Lila kapitulowała.

Oppozycja Bielowskich, doktora, całego sąsiedztwa, lzy i zakłęcia matki—zmusiły ją do ustępstwa.

Pozwoliła mężowi leczyć się w domu. Wygrała na tem bardzo wiele. Mąż ją wielbił prawie, matka ustępowała.

Kamieńce miały teraz sąsiedztwo liczne i niezmiernie ciche zabawy. Kilkanaście podlotków wpłynęło na szerszą arenę salonów, młodych epuzerów także nie brakowało, urodzaje dopisały: więc bawili się, i ci co mogli, i ci co nie mogli, byle jeden wyżej nad drugiego.

Lila przeto miała rozległe pole do uprawiania flirtu, do pokazania siebie i kosztownych swoich toalet, do organizowania zabaw i t. p. Wszędzie była przyjmowana z okrzykami radości i zachwytu, wszędzie królowała, nawet między pięknymi i młodszymi od siebie.

Zrobiła wprawdzie kilka wycieczek w ciągu trzech lat ubiegłych, ale jeździli tylko we dwoje z mężem, ku wielkiemu zgorszeniu babci Dolewskiej, więc i koszta były mniejsze, i podróż taka niedługo trwała.

Dla mężowskiej matki nie miała nigdy serca. Gdyby nie przedziwny takt Kamienieckiej, dom w Kamieńcach stałby się istnym piekłem. Oto

i teraz matka zrozumiała aż nadto przycinki Lili. Usunęła się w porę, aby uniknąć interwencji syna, którą niegrzeczne zachowanie się Lili byłoby wywołało z pewnością.

Gdy się drzwi za matką zamknęły, Stanisław, poważny i zamyślony, stanął przed żoną i szukał wyrazów do rozpoczęcia rozmowy.

Lila się zniecierpliwiła.

— Będę zmuszona ograniczyć te wizyty matki u ciebie—rzekła ze złością.—Wygładasz po każdej z nich jak struty. I to się według niej troskliwością o twoje zdrowie nazywał!

Stanisław ocknął się...

— Dlaczego ty, Lili, żywisz wciąż niechęć do mej matki?—spytał Stanisław, patrząc jej prosto w oczy.—Anielska to kobieta i pełna poświęcenia dla nas... Boli mnie to jako krzyżująca z twej strony niesprawiedliwość.

Lila przygryzła wargi ze złości.

— Pozwolisz — rzekła, — że na wartości uczuć twej matki dla mnie znam się doskonale. Nie miałam bynajmniej zamiaru uprzedzać się, ale fakta jej niechęci są aż nadto widoczne.

— Jakie fakta, Lili?

— Pytasz? Dziwna rzecz! Widzą to wszyscy, śmieje się zemnie sąsiedztwo całe: a ty jeden nie wiesz, nie widzisz!

— Uprzedzenie! — odparł stanowczo.

— Złośliwi, a babcia najpierwsza, donieśli ci plotkę czy coś podobnego—dodał.

— Przepraszam cię — rzekła z roziskrzonym gniewem oczyma.—Plotek nie słucham, a babcia sama zbyt wiele znosi, aby się mną zajmować miała. Niezły to raz miała już wymówione, że niepotrzebnie tu siedzi, że jest nam ciężarem i t. p. Dobra jest, kocha mnie, więc milczy... Co do mnie, racz mi powiedzieć: jakie ja, żona twoja, stanowisko tu zajmuję? Może wiem cokolwiek o interesach, może prowadzę rachunki, zajmuję się gospodarstwem? Wyznam ci szczerze, że po zamieszaniu w Kamieńcach miałam szczerzy zamiar poprowadzić wszystko inaczej i chorego męża zastąpić w interesach. Moja wrodzona delikatność sprzeciwiała się jednak jakimś ostrzejszym środkiem, któreby dumną i niegiętą matkę twoją do ustępstwa skłoniły. Gdy odgadła moje zamiary, zaczęła się małe podjazdowa wojna. Rezultat z góry był przewidziany. Ustąpiłam, bo nie wniósłam ci odpowiedniego posagu... Rumszany mama raczy uważać jako ciężar przyjęty w dodatku do mojej osoby.

— I ma poniekąd racją, żoneczko — odparł Stanisław. — Nie mówię dlatego, aby ci przykrość sprawić. Pragnę tylko przyszłość naszą i dzieci przedstawić ci w rzeczywistości światle. O ile pamiętam, matka na wyraźne twoje żądanie oddała ci gospodarstwo i interessa bez wahania. I cóż się stało? Moja śliczna, niepraktyczna żoneczka narobiła takiego bigosu, tak wszystko zagmatwała, że Kwapiewicz głowę stracił ze szczeniem, służba pociękała, a deficyt w kassie sprowadzał ci wieczny ból głowy i odbierał humor. Samaś przecie, Liluś, po tej niefortunnej próbie kapitulowała.

— Bo matka na każdym kroku stawiała mi trudności, — odparła Lila zawstydzona nieco. — Kwapiewicz toż samo. Bardzo wierzę, że rządy moje podobać mu się nie mogły. Za wiele widziałam...

— Lili, proszę cię, nie obciążaj starego poczciwca żadnym podejrzeniem, — rzekł Stanisław surowo. — Zapomniałaś chyba, jak gorliwie pracował dla ciebie, jak pożytecznym jest dla Kamieniec, odkąd zarząd niemi objął. Serdecznie mi przykro...

— Dowodzi to, że nie mam złudzeń, — odparła. — Za to ty, Stasiu, patrzysz na wszystko oczami swej matki i zobaczymy, jak na tem wyjdiesz!

— Przestań, Lili! Nie mogę znieść tonu, z jakim o mej matce się odzywasz. Gdyby nie ona, z pewnością dziś już nie miałibyśmy co do ust włożyć. Nasz pobyt zagranicą, o parę lat jeszcze przeciągnięty, byłby kompletny upadek sprowadził.

Powstał wzbudzony, Lila wybuchnęła płaczem. — Więc i to mi jeszcze wymawiasz! — zawołała

z udaną boleścią. — Zapomniałaś, że trzeba było życie moje ratować!..

Nastąpił obfity wybuch łez i spazmatycznych łkań. Stanisław czuł się znękanym tą sceną.

— Poprzestań, proszę cię—mówi.

Ona szlochała wciąż. Nerwowe rozdrażnienie, występujące zwykle przy każdym wzruszeniu, lekkie śpilkowe ukłócia nad czołem, drganie powiek i rąk dały poznać Stanisławowi, że nie jest jeszcze silnym do tyła, aby walkę z Lilą odważnie mógł podjąć. Ścisnął głowę rękami, potem usiadł przy żonie.

— Posłuchaj mię, Lili, — rzekł przytłumionym głosem — ale słuchaj uważnie. Krótko i węzłowato, powiem ci, jak rzeczy stoją. Jesteśmy zruinowani. Jeżeli będziemy dalej tak wydawali, jak wydajemy... pójdą i Kamieńce tą samą drogą, którą poszły Łoziny, Zameczki i inne. Nawet Kamieniówka już sprzedana. Las szarpnięty w znacznej części... Co będzie dalej? Ty droga, Lili, chyba nigdy nad niczem się nie zastanawiasz, bo inaczej...

— Bogu dzięki, że nie mam z tem nic wspólnego, — rzekła przez lzy Lila. — Matka tak pięknie gospodaruje...

Załamał ręce. Jak tu dojść do ładu z takimi przewróconymi pojęciami? Sama przecież widzieć powinna, że jest sprawczynią wszystkiego złego, a jednak... Czuli się wyczerpanym tą sceną tak dalece, że machnął ręką z desperacją i nie chciał już walczyć dłużej.

— Dosyć tego na dziś, Lili—rzekł. — Mam nadzieję, że będziesz się starała dopomagać mężowi, bo teraz interessa ja biorę na swoją głowę. A moja głowa bardzo jeszcze zmęczona i niepewna, Liluś. Zbyt często czuję skutki choroby, którą przebyłem. Lękam się nawet... Ale poco uprzedzać wypadki?... Byleś ty mię kochała, byłem ciebie widział zadowoloną i szczęśliwą, to już wszystko dobrze będzie.

Utulił ją w objęcia i pieczyoty obłudnej kobiety wkrótce starły zmarszczki z jego czoła.

VIII.

Imieniny małej Wandzi. Pogoda prześliczna, jest kilka osób z sąsiedztwa. Podano właśnie obiad.

Lila jest wprost zachwycająca. Ma śliczną suknię *crème* z haftowanymi kiściami liliowego bzu, włosy nisko upięte, co ją znacznie odmładza, i błyszczące, jak gwiazdy, oczy. A usta jakie różowe! Ta kobieta wcale się nie starzeje: przeciwnie, z każdym dniem jest ponętniejsza. Wabi ku sobie, jak dojrzały o przedziwnym smaku i barwie owoc, którego każdy radby skosztować.

Pysznie utoczoną ręką głaszcze miękkie loki Wandzi, z okazji imienin siedzącej u stołu przy matce. Obie razem tworzą bardzo miłutki obrazek.

Poza gośćmi i babcią Dolewską siedzi młody, 23-letni, mężczyzna. Zupełna swoboda ruchów, obejście dystygowane prawie, sposób wysłowienia niezostawiający nic do życzenia, a urodą przewyższa nawet najwybredniejsze wymagania płci nadobnej. Twarz o regularnych rysach zdobi, młodzieńczy, ale bujny już, czarny wąsik i oczy—oczy niezrównanej barwy i wyrazu. Aksamiarne, czarne o pociągłym wejrzeniu, sypiące iskrami, lub pływające w jakiejś mgłę, jak w czarnej krepie osłonach; czasem dziwnie miękkie, czasem groźne, zwykle obojętne i zagadkowe.

Niema w tej pięknej twarzy nic, coby psuło rysunek: skończony typ pięknego bruneta o wysmukłym wroście i figurze, dopomagającej do ogólnej harmonii.

Jest to p. Michał Borzycki, rządcą i przyjacielem Stanisława, którego z Borzyckimi dawne łączyły stosunki. Majątek, smutnymi okolicznościami szarpnięty, trudno było odzyskać; dzieci było kilkoro: młody Michał wziął się do pracy, by stworzyć sobie przyszłość, nie oglądając się na

resztki ojcowizny, którą w myśli siostrom przeznaczył.

P. Michał jest bardzo miłym i szlachetnym młodzieńcem. Wszystkie serca podbił w Kamieńcach. Obojętnie to wszakże przyjmuje i prawie że nie zwraca uwagi na kobiety, strzelające ku niemu oczami, a częstokroć i na wyraźne zachętki.

Babci Dolewskiej sprawia to pewną sensację. Nie może już wprawdzie grzeszyć sama, ale zajmuje ją, gdy grzeszą inni.

P. Michał, wyjątkowo dzisiaj, rozkrochmalił się nieco. Lubi Wandzię, przyniósł jej prześliczny bukiet z leśnego kwiecica, otoczony wieńcem paproci, i rozmawia z nią o uroczystości sobótki, którą dziś, w wigilię Ś-to Jańską, urządzają dziewczęta i parobcy. Tłumaczy małej znaczenie sobótki w bardzo barwny sposób, łącząc to z opowiadaniem o pełnej czarodziejskich tajemnic S-to Jańskiej nocy, a mówi tak dźwięcznie, niskim, jak metal pełnym głosem, że wszyscy przy stole, są zasłuchani i zapatrzeni w mówiącego, bezwiednie.

Bystry, bardzo bystry spostrzegacz mógłby jednak coś zauważyć. Spokojna, chłodna twarz Michała błyskawicznie się ożywia, gdy Lila wtrąci słówko jakiegoś do rozmowy, a wzrok zapala mu się ogniem, gdy na króciutką chwilę oczy jego zbiegną się z oczami pani domu.

I Lila umie panować nad sobą. Dumna, wyniosła jak królowa, po-królewsku podnosi głowę i rozdaje słowa i uśmiechy. Prąd magnetyczny, strzelający z oczów młodzieńca, przyspiesza wprawdzie bicie jej serca, ale ona tłumi je całą siłą woli. Chce, jak skapiec, ukryć swój skarb głęboko, bo przekonana już jest nie od dzisiaj, że to on, ten piękny, demonicznie piękny, zasłonił w jej umyśle księcia i stworzył jej niebo nieznanymi jakichś pożądań i rozkoszy, o których chłodna jej natura nie śniła dotąd.

Może i wiek przyczynił się wiele do obudzenia namiętniejszych porywów—owa pora dojrzewania owocu, tak niebezpieczna u kobiet: dość—że piękny chłopak stał się jej bożyszczem, a wstrzeźliwość jego doprowadzała ją nieraz do szaleństwa.

Podczas rozmowy o sobótkę myśl jakaś błysnęła jej w głowie. Zwróciła się do Haliny.

— Ty, jako zwolenniczka prastarych obyczajów, zechcesz może zobaczyć te Ś-to Jańskie ceregiele, Halino—rzekła—pojedziemy nad rzekę wieczorem.

— Czemuż-by nie?—odrzekła Halina. — Weźmiemy dzieci.

Lora aż się z miejsca poderwała. — To będzie przecudownie! — zawołała, składając ręce. — Nie wiem doprawdy jak ja doczekam do wieczora!

Komiczna jej rozpacz pobudziła wszystkich do śmiechu.

— Czy pan, panie Borzycki, będziesz miał chwilę czasu i nieco dobrych chęci, by zostać przewodnikiem naszym? — spytała Lila.—Stas trochę za ciężki do tego.

Głos jej, gdy wymawiała te słowa, pozornie był obojętny. Na mgnienie oka jednak skrzyżowały się ich źrenice; on zbladł mocno, ona leciutko się uśmiechnęła.

— Zawsze gotów jestem do usług—odparł, pełnym już siebie głosem.

— A zatem jedziemy wszyscy—zadecydowała Lila.

— Wyłącz mnie, aniołku—rzekł Stanisław, po raz pierwszy mieszając się do rozmowy.— Mam dużo zajęcia.

Spojrzała na niego słodko.

— Jaka szkoda!—szepnęła.—Czy nie możnaby tego na później odłożyć?..

— Nie, dziecko moje. Ale mam nadzieję, że zabawicie się przyjemnie i bezemnie. Wieczór będzie rozkoszny: widać to po dniu, a nasze ludowe zabawy mają wiele prawdziwej poezji...

— Poezji nieco smętnej—szepnęła Lila rozmawiając i oczy jej spotkały się z gorącym spojrzeniem Michała.

Po obiedzie goście się rozjechali. Lila przeszła do swego budoaru; chciała być samą.

Od przyjazdu Borzyckiego nie poznawała samej siebie. Gdyby, gdyby on, tak, jak inni,

odrazu, widokiem jej olśniony, zaprzął się był do jej rydwanu, z pewnością po kilku próbach zwyczajnego flirtu byłaby się odrazu odwróciła od niego, znudzona. Ale tu stała się rzecz inna. Młodzieniec, choć mu z oczów tryskało namiętne pragnienie, choć drżał cały i bladł, gdy spotkał piękną panią niespodzianie lub samą, nie zapomniał się ani na chwilę: zawsze chłodny, dumny aczkolwiek rycersko-grzeczny, usuwał się od niej z jakimś nienaturalnym pośpiechem, zacepiiony wprost, odpowiadał chłodno; oczy miał wtedy takie zagadkowe, że Lila, zirytowana, sama nie wiedziała co o tem sądzić. Widziała, że mimo to, iż pięknych panien odwiedzających Kamieńce nie brakowało; mimo to, że kobiety, zachwycone pięknością młodego chłopca, same go zacepiały i dobijały się o niego,—on nigdy, ani na chwilę jedną, nie dał się porwać, nie ofiarował żadnej najłżejszego nawet dowodu galanterii; był chłodnym i niezdołowanym.

— Czy on zakochany?—pytały ciekawsze.

— Czy może kocha się w pannie Bielowskiej?

Lila wzruszała ramionami.

— Nie wiem,—odpowiadała z uśmiechem.—

Zkądże ja to wiedzieć mogę?

Cała ta gra atoli niebezpieczną była. Im większa w nim oziębłość, tem goręcej ona pałała chęcią—stopienia lodów. Trzeba jednak było działać ostrożnie, powoli, bo tyle oczów patrzyło na nią, oczów ciekawych i zawistnych. Dziś, przy obiedzie, obserwowano z rozkoszą błądzącego Borzyckiego, nagle błyski przepysznych jego oczów, nad którymi nie był już w stanie panować ciągle. To ją rozmarzyło. Ztąd i propozycja towarzyszenia im na wieczorny spacer wypłynęła.

— Muszę to raz skończyć!—zadecydowała.—Zanadto męczy mnie niepewność.

Dzisiejszy wieczór miał podać ku temu sposobność.

Rzeka rumieniła się jeszcze blaskami odchodzącego słońca, gdy nad jej brzegami zabrzmiał gwar pieśni. W śpiewie ludu ciągnione nuty szczególnie są akcentowane i przejmujące. Ztąd pochodzi, że nalięsza piosenka, oddana tylko we właściwy sposób, nabiera odrębnego wdzięku. Smętna i żalosna, jakby się skarżyła, zakrada się do serc słuchaczy i budzi tęskne myśli.

Przed dworem czekały powozy; dzieci z gwernantkami kręciły się, oczekując matki.

Halina z Rolskim, któremu wiosna obudziła znów pragnienie zdobycia miłości upartej dziewczyny, rozmawiała o Stanisławie. Lila tymczasem stała w gabinecie męża, niepewna co jej czynić należy?

W ostatniej chwili Borzycki przeprosił ją, że służyć nie oże i pozostanie przy Stanisławie.

— Raczy szanowna pani wybaczyć łaskawie—mówił, uciekając z oczyma przed wzrokiem Lili—ale mam bardzo wiele zajęć, które w razie mej nieobecności musiałby on sam załatwić; na to pozwolić nie mogę.

Blady był gdy to mówił, i głos mu się chwiały niepewny.

— Czy to jedyny powód?—pyta Lila i badałczy jej wzrok z dziwną siłą wpił się w twarz młodzieńca. Stała przed nim jak pokusa z rozchylnymi ustami, z błyszczącym wzrokiem, który mu rozum mieszał...

— Czy to jedyny powód, panie Michale?—powtarza Lila zwolna, cichym, miękkim głosem.

On spojrzał na nią błagalnie. Poco ona go męczy? Czyż mu nie dość tych męczarni, jakie przebywa bezustannie, walcząc z samym sobą? Nie miał już siły wzroku od niej oderwać. Krew gorącą falą uderzała mu do głowy; ledwo się zdołał powstrzymać, by nie wypowiedzieć tego, czego nigdy potem wybaczyć-by sobie mógł.

Leciuchno, pieścizotliwie ręka Lili spoczęła na jego ręce.

— Dlaczego pan nie jesteś szczerym?—mówi słodko.—Dlaczego lękasz się mnie? a może to tylko brak sympatii sprawia, że uciekasz ode mnie?

Uśmiechała się, w oczach palił się ogień. Michał milczał. Był odurzony, nieprzytomny.

Przycisnęła mocniej jego rękę i spojrzała mu w oczy.

— Powiedz-że mi pan co—szepnęła.

Tłumiona namiętność dźwięczała w jej głosie.

— Czy kochałeś kiedy?—rzuciła nagle z niespokojnym błyskiem w oczach. Zapomniała o wszystkim.

Michał oprzytomniał. Cóż to jest? Co się z nim dzieje? Tam, za kotarą leży Stanisław, którego on kocha i szanuje, chory, znękany, a tu...

Czy to sen, że on rękę Lili trzyma w swej dłoni, poi się dźwiękiem jej głosu, czarem jej postaci? że zapomniał, szalenie, o przepaści, jaka ich rozdziela?

Poczucie rzeczywistości powróciło mu w jednej chwili przytomność. Czuł ból niezmierny, ale i rozkosz zwycięstwa, gdy usunął jej rękę i sam się cofnął. Oczy jego miały znów zagadkowy wyraz, zimny, obojętny; tylko lekkie drżenie górnej wargi mówiło o silnym wzburzeniu.—Łaskawa pani raczy wybaczyć—rzekł.—Obowiązki moje zmuszają mnie zająć się pracą niezwłocznie. Tyle mamy do zrobienia dzisiaj...

Uklonił się i, nie patrząc wcale na Lile, poszedł do pokoju Stanisława.

Lila ostupiała.

— A jednak musisz uledez—szepnęła wreszcie, dusząc się z gniewu.—Zapłacę ja ci za tę chwilę!

Jakżeby się zadziwił Michał, gdyby teraz zobaczył swój ideał!

Lila wyszła na ganek i zwróciła się do Rolskiego i Haliny.

— Nie czekajcie państwo na mnie—rzekła spokojnie.—Stasiowi niedobrze... Zostanę przy nim.

Halina obejrzała się.

— Istotnie, spóźnimy się—rzekła.—Czy p. Borzycki nie jedzie?

— Nie wiem—odparła Lila i odeszła.

Po ustach Lucyana przebiegł uśmiech. Schwyłała go Halina. Nie spytała wprawdzie, co by oznaczał, ale w ciągu całego wieczora była dziwnie zaniepokojona i smutna.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z WŁOCH.

Włoskie słońce ognistymi blaskami swemi rozpała mury starej Romy; ja tu siedzę przecież i nie jest mi najgorzej, Rzym przez to już, że jest rezydencją Ojca Świętego, nie wyludnia się tak nigdy latem, jak stolice innych krajów, i ma zawsze swoje wielkie uroczystości. Ojciec Święty przebywa jak zwykle latem niemal dzień cały w Terrione, to jest pałacyku swoim wysmukłym jak wieżyca, a wznoszącym się na wyniosłym pagórku wśród najgęstszego zagajenia rozległych ogrodów watykańskich, gdzie w zupełnym oderwaniu od świata i ludzi układa nową encyklikę, która, jak to słyszeć się daje w sferach zbliżonych do Watykanu, ma mieć znaczenie szczególne dla świata chrześcijańskiego. Zaden z Papięży nie skreślił tyle pasterskich tych listów, ile Leon XIII, w których dotykając przeróżnych spraw i zagadnień naszego czasu, zostawi po sobie jakoby historią myśli hiejącego wieku, a dodać należy, że łacina Ojca Świętego jest klasyczną.

W Watykanie odbywa się restauracja apartamentu Borgiów, składającego się z sześciu rozległych komnat; przyległy do biblioteki został on wzniesiony przez Aleksandra VI i ozdobiony przepięknymi freskami pensla malarza Pinturichio, które ucierpiały bardzo, nietylko pod siłą czasu, ale i barbarzyństwem człowieka, jak śmiało wyrazić się można, ponieważ niektóre z pomiędzy nich poprostu pobielono. Pachelis Frin-quelli, przyjaciel z lat młodych Ojca Świętego, utalentowany malarz zajął się bardzo gorliwie tą sprawą i należy przypuszczać, że wywiąże się do-dobrze z zadania. Już to niemal ogólnie nastąpił tu zwrot do odszukiwania zatraconych pomników przeszłości i w Terracinie, o kilkanaście już mil od Rzymu, inżynier Pio Capponi, odkrył pod

naleciałością wieków na szczycie wzgórza San Angelo zagrzebaną we własnych gruzach świątynią Jowisza. Zwaliska te, imponujące wielkością szczątków swoich, uważano za ruiny pałacu z czasów Gotów i minister oświecenia Bocelli, wydelegował na miejsce profesora Gatti, który kierował już robotami dobierania się do wnętrza gruzów na Palatynie.

Przeszłość z bogactwem dzisiejsze Włochy, skarbanami tysiąca wieków, co rozbudza im w piersi pragnienie, aby i oni zostawili po sobie ślady ludzi i czynów swojej epoki. W dzień S-go Agapita, który byłby dniem imienia znakomitego artysty, twórcy muzyki kościelnej, Palestrina, gdyby żył za naszych czasów, położonym został kamień węgielny pod pomnik czci jego poświęcony, w miasteczku Palestrina, gdzie się rodził i od którego wziął nazwisko swoje w historii sztuki. Pomnik poświęcony pamięci Wiktorii Colonna, której postać o promienia gorąca część, jaką składał jej Michał Anioł, ma stanąć w miasteczku Marino, w pobliżu Rzymu, przed starożytnym zamkiem jej przodków, a dodać należy, że wszystkie miasta i miasteczka dawnego Lacyum składki tu nadsyłają. Pomnik Wiktora Emmanuela, który wzniesie się na Kapitolu, a na który ma się złożyć tak sztuka rzeźbiarska, jak architektura, będzie wspinała pamiątką czci narodu włoskiego dla odrodziciela Włoch. Pomysł wyszedł od hr. Sacconi, inżyniera, a ludzie dobrej woli złożyli się na koszt budowy, i to niemałe: na kolumny, posagi i płaskorzeźby, których nie łatwo wyliczyć, a których twórcami są rzeźbiarze: Ferrari, Mascagni i Cantalamassi, miasto wydało już milion skudów, przeciw biegli utrzymują i głoszą w dziennikach, że będzie tu trzeba dodać jeszcze parę milionów. Pomnik olbrzymi a różnorodny w częściach swoich, przeciw harmonijny w całości, jak sądzić już można z planu, ukończony być może dopiero w roku przyszłym, w pierwszych jego miesiącach, jak zaręczają biegli, dodając przeciwieństwo, że potrzeba będzie, aby parlament zażądał na to funduszy od kraju, bo miasto samo temu nie poddało, zwłaszcza, że na jego budżecie mieszczą się ciężary niemałe.

Dodać można, że nie tylko finansowe. Zmarły niedawno w Parmie August Rossi zostawił testament, w którym bez ogródki już żadnej, więc ostro i surowo przedstawia obraz etycznej strony przesilenia, jakie odrodzone Włochy przechodzą. Posiadacz 30.000 lirów zapisuje całe to mienie swoje temu spośród Włochów, który w przeciągu lat trzech zbada najgłębiej i odpowie najjaśniej na cztery zagadnienia, odnoszące się do jasnego wykazania smutnych przyczyn demoralizacji w łonie sfer wyborczych i dziennikarstwa włoskiego. Zastrzegł też sobie tymże testamentem, aby na grobowcu jego kamienia wyryto napis, iż żył i umarł nie nosząc nigdy żadnej godności urzędowej.

Jeden z redaktorów czasopism włoskich pisze, że z rumieńcem na licu pomieścił w organie swoim ten testament, w którym gryząca gorycz zmęczonego życiem mizantropa nie była przeciwieństwem bezpostawności. Smutny proces Banca Romana jest już tego dowodem, są to przeciwieństwa następstwa tej przeszłości, w czasie której geniusz włoskiego narodu nie rozwijał skrzydeł, a życie jego toczyło się wśród cieni pośpitych. Stan taki musi też wytwarzać tragedie bolesne i niezmiernie przykre wrażenie wywarło na wszystkich uczciwych ludziach aresztowanie postać z Katanii, Griffida za nadużycia pieniężne, które maskował dobroczynnością, a odzywa się tu głos niejeden, że jest to wina kobiety, żony jego młodej, która życiem nad możność ruinowała męża. Włoszki, które w chwili nowożytnego odrodzenia Włoch zapisały się na kartach historii szlachetną siłą wzniosłego uczucia, powinny nie zatracić tej tradycji, i trzeba przyznać, że biorąc na ogół są one dobrymi obywatelkami, dobrymi przewodniczkami życia rodzin i umieją być mężniami, odważnymi w nieszczęściu. Osiemnastoletnia panna, Marya de Felice Giufrido, córka właściciela ziemskiego w Sycylii, której ojciec został aresztowany za knowania socjalistyczne, przybyła w tych dniach do Rzymu ze starą tylko piastunką, aby mogła widywać ojca, gdy przeciwie-

rzecz okazała się niemożliwą, udała się z odwagą rozpacz do Crispiego, prosząc, aby jej wolno było dzielić los ojca. Crispi przyjął ją uprzejmie i chcąc zamaskować odmowę, zaczął jej przedstawiać przykrości, trudne szczególnie do zniesienia dla kobiety tak młodej, jak ona, — gdy przeciwieństwo nie to nie wpłynęło na nią, wzruszony przyrzekł jej zrobić wszystko; co można na tej podstawie, że ojciec, który umiał wychować tak córkę, nie może być złym obywatelem. — Ach! — zawołała żywo biedaczka — czyż może być Włoch taki? — a Crispi ujął ją za rękę. — Taka córka odkupuje winy ojca — rzekł — wiem, że wychowasz pani dzieci twoje na dobrych obywateli...

Włoszka tegoczesna jest w ogóle wykształconą i pojmującą też obowiązki kobiety w społeczeństwie; na uniwersytecie rzymskim, bolońskim, studjuje liczba kobiet znaczna; jest to stara, jeszcze średnich wieków sięgająca tradycja. W ubiegłym miesiącu młoda, wielkiej urody panna, córka profesora rzymskiego uniwersytetu, więc mająca już zapewne stanowisko w społeczeństwie, Teresa Labriola, otrzymała stopień doktora prawa, a rozprawa jej na doktorat: „filozofia prawa“, nie tylko odpowiadała wymaganiom, ale przyniosła jej uznanie najpoważniejszych profesorów. Królowa Małgorzata zapragnęła ją poznać i przyjęła ją w apartamencie swym prywatnym, a szkoda, że rady, jakie jej dawała, nie zostały wydrukowane. Przytomna im dama dworu, Albina Manino, prosiła królową o pozwolenie uczynienia z nich użytku publicznego i miała odczyt pod tytułem: „Owoce życia szlachetnie wiedzionego.“

W pierwszych dniach ubiegłego miesiąca otwartym został obok starożytnego gmachu Łaźni Dyoklecyjana przytułek sierot, założony przez królową. Poprzednio służył on za więzienie, obecnie stał się miejscem miłosierdzia chrześcijańskiego, królowa przewodniczyła aktowi otwarcia, ośmioletnia sierotka, Ludwisia Feraris, podała jej w progu bukiet róż białych. Królowa, która jest wskrós kobietą, uczuła się bardzo wzruszoną na widok tych istot samotnie wśród świata rzuconych i ucałowała dziewczynkę jak matka a te drobne objawy dobrego serca królowej są niemałego znaczenia nie tylko pod tym względem, że jest kochaną, ale cnotliwą, szlachetnie wiedzioną jej życie oddziaływa na kobiety włoskie i powiedzieć można, że w historii obyczajów, Rzymu szczególnie, panowanie jej stanowić będzie, erę a ważną tu jest rzeczą, że mimo to nie okazuje się bynajmniej surową i ostrą. Nie dotyka się tylko tego, co jest zbrudzone, i to już wszystko — niemało, aby wpływ jej był wielki. Sztukę czci jak szlachetny objaw ideału, postęp w tym kierunku bardzo ją obchodzi; gdy doszła ją pogłoska, że Verdi tworzy nową operę, napisała do niego list bardzo miły; sędziwy maestro odpowiedział wdzięcznie, donosząc, że treść zacierpnięta będzie z Danta a przedmiot będzie wysoce tragiczny: Ugolino dać może pole do silnych efektów.

Bardzo niedawno, parę tygodni temu, przeszedł on przez niezmiernie przykre wrażenie; mieszka w Genui, w pałacu własnym, urządzonym z tym smakiem artystycznym, który się odbija w jego utworach, a że obok tego jest bogatym, że domysłano się u niego znacznych kapitałów, złodzieje skorzystali z chwili wyjazdu jego za miasto, aby go zrabować. Ale odzwrotny posłyszał niezwykle ruch na górnym piętrze i zawołał policji w sam czas, bo żelazna kassa, w której mieściły się znaczne summy w papierach procentowych, już była na schodach, równie jak i szkatuła, mieszcząca bogate upominki od wielbicieli talentu. Nic z tego nie zostało straconem, ale napastnicy byli zarazem wandalami, bo zniszczono barbarzyńsko wiele przedmiotów sztuki, podziurawiono obrazy, poszarpano starożytne gobeliny i jest to smutnym wyrazem ducha czasu, ta złość dzika, że ktoś posiada tyle rzeczy cennych, które przeciwieństwo zdobył on sobie sam, bo siłą talentu swego.

Obecnie artystą najwyższego we Włoszech znaczenia jako talent, jest rzeźbiarz Maccari, któremu Leon XIII-ty powierzył wykonanie nagrobka swego. Sędziwy już jest i spokojnie przygotowuje się też do śmierci; pomnik jest cały z karraryjskiego marmuru, na wieku sarkofagu leży lew,

trzymający potrójną koronę, z jednej strony stoi w marmurze też wykuta postać wiary, z drugiej prawda opierająca się na tarczy, z herbem starożytniej rodziny Pecci. Na czarnej marmurowej tablicy po nad lwem wyryty jest napis łaciński: „Tutaj Leon XIII, papież, jest prochem.“

Wobec burz, jakie panują tu obecnie, każdy czuje to więcej niż kiedy. Niestęchane wichry i grady czynią szkody ogromne, a orkan, jaki srożył się w tym czasie w Medyolanie, był klęską dla odbywającej się tam wystawy. Dość powiedzieć, że w starożytnym, kilka wieków liczącym już parku, gdzie wystawa ta jest urządzoną, wicher powyrwał z korzeniami prastare drzewa: dęby i topole, a ile było ofiar w ludziach, ile szkód w budowlach! Starożytna katedra, której mury, przetrwawszy wieki, skamieniały niejako, nie zdołała oprzeć się wicherowi: posąg S-go Longina wznoszący się po nad wejściem głównym spadł na bruk i roztrzaskał się, cynkowa kopuła kościoła Matki Boskiej pocięła się od pionurów, a jest tak nie w jednym miejscu. W Wenecji szkody są też ogromne, padał tam grad wielkości orzecha włoskiego, a tak gęsty, że w kilka chwil całe miasto zostało pokryte białym całunem. Wicher wywracał na lagunach łodzie, a gdy pionur uderzył w wieżę kościoła Santa Maria Formosa, wszystkie szyby kolorowych okien, które miasto zalicza do cennych skarbów swoich, zadrzały. Do bardzo smutnych skutków burzy zaliczają tu, że gołębie, które tradycyjnie gnieźdzą się tu na dachach pałaców i kościołów, zwiąc się gołębiami S-go Marka i mają dla mieszkańców symboliczne jakieś znaczenie, zostały niemal wszystkie przez grad wybite a taką jest siła tradycji, że ludzie żałują tych ptaków aż do tego, z którymi je zbierano, i dowód to, że człowiek nie samym chlebem żyje.

August.

JULJUSZ ZEYER.

Snieg we Florencji.

Obrazek z wieku XV-go.

(Dokończenie).

— Mistrzu Poliziano, — rzekł, rozjątrzony w duszy, ale udając, że nie słyszał, — o mistrzu Poliziano, powiedzże teraz, czy nie jestem filozofem! Swym pomysłem posagu ze śniegu chcę może dać wogóle artystom dobrą naukę co do znikomości ich dzieł. Marzą z takim chorobliwym zapalem o nieśmiertelności swych utworów. A ten śnieg, tam na dole, mówi nam mimo to: korzystaj z chwili, gdy się nadarza — kto wie, gdzie jutro będziesz. Myślę, że zdrowa to rada dla artystów.

— Wszystko to nie byłoby Wawrzyńcowi Medceuszowi na myśl przyszło, — rzekł sucho Poliziano. — Ale są artyści i artyści, jak są ludzie i ludzie. Artysta czy nie artysta, każdy bierze samego siebie za miarę pozostałych rzeczy i ludzi; — wielkość i niewielkość daje Bóg.

— Doskonale, — odparł Piero, ale zagryzł usta i zamilkł.

Michał Anioł przysunął się tymczasem, nie słuchając rozmowy, do okna i patrzył teraz w zachwyceniu na ogrody. Zawieja śnieżna ucichła zupełnie, niebo połyskiwało gwiazdami, a ziemia świeciła widmową białością. Każde drzewo zdawało się wyciosanem z marmuru, każda ścieżka, błękitniejąca w zmroku, zdawała się prowadzić do nieznanych, tajemniczych światów, z których cały ten blask, ta cisza, ta biała wspaniałość płynęły. Porywało to w nieskończoność, jak prąd wielkiej, podniosłej, cichej muzyki. Bez słowa wyszedł Michał Anioł z sali, aby uczynić, czego Piotr w dzieciństwie zachwalstwem swym żądał. Cudowna piękność tego marzącego, niezmiernego, nieprawdopodobnego widowiska zbudziła

w nim chęć tworzenia. Nie były-ż to senne błonia śmierci? Nie był-że to świat, z którego nagle wszystka krew i siła żywotna zniknęły, świat, co, biały, zsiniały, skostniały, ku ciągle jeszcze dyżącemu gwiazdami niebu, jakby w grozie śmiertelnej, spoglądał? Tak, to było podswieccie, kraina widm i larw, kraina wiecznych westchnień za światłem i słońcem, do której, szukając Eurydyki swej, zstąpił Orfeusz.

— Orfeusz!—zaszeptał Michał Anioł, jak iskra dotknięty, i kazał szybko, aby mu zgarniano śnieg i na oznaczonym miejscu gromadzono. I podczas gdy Piotr Medyceusz na górze w sali godował i o śniegowym posągu już nawet nie myślał, pracował Michał Anioł, przy rudem świetle licznych pochodni, z gorączkowym zapalem nad swoim zadaniem.

Dusza jego pełna była jeszcze myśli, które rozmowa z Polizianem w nim obudziła, i postanowił stworzyć Orfeusza w owej chwili, gdy, straciwszy po raz drugi swoją Eurydykę, znowu za nią do piekieł chce się dostać, ale słowami rażon Tesifonowem: „Ni kroku naprzód już, daremny żal, bo „zakon bez dna niezłomny i pewny“, — całe brzemie fatalnego, tego czując wyroku, beznadziejnością zgnębion z bólu niejako w głąz się obraca.

Śnieg był na mrozie twardy i posłusznie ręką artysty się poddawał. Dolną część posągu założył Michał Anioł szeroko, zakrywając wielki, charakteru pełny, ruch nóg spływającą aż do ziemi szatą. Pewny krok Orfeusza zaznaczał stanowczy zamiar poety dostać się jeszcze raz do podziemi, mimo wszystkich zaznanych już gróź, a wzniesione ręce trzymały lirę, jakby jeszcze raz w struny jej chciał uderzyć. Twarz, którą artysta wyraziście i najszczegółowiej wypracował, była poważna, piękna, jaśniała żarem rodzącego się w piersiach śpiewu, a jednocześnie biła z niej ta moc, która się niczego nie ulęknie. Michał Anioł pracował z miłością i zapalem, jakby widzenie swe w spiż na wieki, a nie w śnieg dla zabawy chwili marnej, wcielał. Skończywszy, odstąpił kilka kroków i westchnął głęboko.

— To nie to, czego chciałem!—zawołał.—Z rysów tej twarzy wieje znowu chłód i mróz, jak z tego śniegu! to nie jest urzeczywistnienie mych snów! Znowu ten spokój helleński! Tak mógł Orfeusz na progu piekieł stać po raz pierwszy, ufając jeszcze, że zwycięży swą lirą, że wrzuci swym śpiewem, że ujrzy lice ukochanej Eurydyki! Tak nie stałby Orfeusz, słysząc słowa miążdzącego go losu! Tak byłoby go snadź w Atenach pojeli, tak ja nie chciałem go stworzyć!

Pochylił smutnie głowę i stał bez słowa przed swym dziełem, a pochodnie gasły zwolna, niebo szarzyć zaczynało, potem oczerwieniło się, aż wreszcie weszło słońce w pełnym, złotym majestacie swym, i oświeżone ogrody w czarodziejskich naraz stanęły blaskach, jak jedna spłonęły zorza. W tej chwili zabrzmiał gwar na tarasie za artystą: Piotr Medyceusz wyszedł tam z całym dworem swoim, i wszyscy, olśnieni niezmierną pięknnością tych różanych, kryształowych ogrodów i tej olbrzymiej, słońcem i promieniami wielkiego geniuszu magicznie oświetlonej postaci Orfeusza, wybuchnęli zapalem, napełniając powietrze okrzykami niekłamnego uwielbienia.

Poliziano pośpieszył po schodach i mileżąc uściśnął artystę.

— Nie, nie,—szepnął z gorzkim uśmiechem Michał Anioł—to nie to, czego chciałem! Na jego twarzy nie znać tego, co ja w sercu czuję! To nie człowiek, to ideał!

— Idea, jaka się w boskim Platona marzeniu zwierciadli!—rzekł Poliziano.

— A jednak tylko idea, nie człowiek żywy! Gdzie ten ból, ta rozpacz, które, jak żmija, żrą mu serce? Oh, to nie Orfeusz, to jego kamień nagrobny! Nie chcę nań patrzeć! Obcy mi jest, jak widmo obce żyjącemu!

Tak mówiąc, Michał Anioł ukrył twarz na pierś Poliziana i nie chciał słuchać żadnych jego pociech. Nad głową jego brzmiały dalej hymny chwały, a to bolało go tem bardziej.

— Szaleńcy, ślepcy!—szeptał nieszczęśliwy... Oni nie widzą, że Orfeusz ten jest tylko śniegiem w postaci człowieka!

Nagle nowy wykrzyk, jakby z ust jednych, zabrzmiał na tarasie, a Poliziano drgnął silnie. Michał Anioł podniósł mimowoli głowę i spojrzął na swój posąg. Wykrzyk na tarasie zabrzmiał był, jakoby wywołany zdumieniem,—nie bez przyczyny, bo posąg Orfeusza poruszył się. Cud ten sprawiło słońce: milionem złotych strzał wyganiało niezwykłego gościa z dalekiej północy, połyskliwy ten śnieg—z miejsc dla władzy ciepła stworzony. Śnieg kapał z drzew kaskadami diamentów, lał się potokami z dachów, a białość jego rozplywała się na trawie, jak sen w budzącym się oku. I twój Michał Anioł odczuł zgubny czar wigotnych, błyskotliwych promieni, które go całowały. Dolna część posągu stała jeszcze bez ruchu; wielki, pewny krok Orfeusza nie podległ jeszcze klęsce, ale siedziby myśli i serca, głowa i piersi, śmiertelnie już były zranione. Ręce osunęły się Orfeuszowi bezwładnie, lira wypadła z nich na ziemię, głowa pochyliła się w tył, broda rozprzęgła się, tak, że usta się nieco otworzyły, mieniając się w krzywą, ku dołowi wygiętą linią, oczy, tracąc dokładny rysunek, zdawały się przymykać, a wyrazistość wszystkich równie jasno zaznaczonych rysów twarzy zlagodniała, tając, w przedziwną harmonię. Jakiś dreszcz życia, zdało się, wstrząsnął śniegiem, jakaś iskra ożywcza przebiegła posąg. Teraz był to zaiste Orfeusz, zdruzgotany rozpaczą, zgnębiony bólem, niosący już śmierć w duszy, acz jeszcze majestatycznie, pewnie na nogach stojący—bohater, lecz bolejący człowiek znękany śmiertelnie, lecz oddychający.

Michał Anioł patrzył na dzieło swe szeroko rozwartymi oczyma, uśmiech pełny radości igrał mu na ustach; uściśnął silnie rękę Poliziana.

— Nareszcie widzę jasno, com niepewnie przeczuwałem!—szeptał z uniesieniem—a teraz wiem, czego Orfeuszowi brakowało, i od dziś już tego żadnemu z dzieł mych brakować nie będzie: wyraz duszy! Coby warte było wszelkie piękno zewnętrzne, gdyby nie mówiło, co się wewnątrz dzieje! Nauczyłeś mnie czegoś wielkiego!

— Tem słońcem, które na prawą w widło cię drogie, jest własne twe uczucie, własny twój duch,—rzekł Poliziano—Tak, znalazłeś dziś coś nieskończenie wielkiego: samego siebie! Ufasz więc, że przemożesz ten „niezłomny i pewny zakon otchłani“—O, jakże wysoko stać będziesz nad innymi! Życzę ci szczęścia, ale żałuję cię zarazem. Biedny mój przyjacielu! Wyżyna znaczy osamotnienie, wielkość znaczy nienawiść. Wszystko odpuści ci tłum tylko tego nie, że nad nim stoisz, że mu się wymykasz. Ta wyłączość ciemniem ci będzie żywota. Orfeusz nie zniżył się do bachantek, więc rozszarpały go!

Zanim domówił, posąg runął na ziemię. Zadużdziło, i został zeń jeno bezkształtny stos szybko topniejącego śniegu. Wykrzyk, jakgdyby współczucia, wyrwał się z ust wszystkich obecnych na tarasie dworzan, potem śmiech ozwał się, pośród którego głos Piotra zabrzmiał wesoło.

— Patrzcie,—zawołał z ironią—oto przyszła ta nauczka, którą obiecywałem!

— Tak, wielką odebrałem naukę,—rzekł Michał Anioł, z pięknym i wdzięcznym uśmiechem spoglądając w niebo, a o Piotrze Medyceuszu zupełnie zapominając.—Wiem teraz, jak zwyciężyć wiecznemu buntowi brakuje: bicie tętnic i oddech!

I zatopiony w widzeniach swych, odszedł. Nie żegnał się z nikim, i zapomniano o nim, tylko Poliziano wyszedł na plac i patrzył za nim, jak samotny kroczył ulicami Florencji z jaśnią w oczach pięknie świecąca, niż błękit, który znowu uśmiechał się nad miastem kwiatów...

A stara ta Fiorenza tonęła w gloryi poezji, tej poezji podniosłej i pobożnej, jaką tętnął w nią Giotto, tej poezji pełnej prostoty i głębokiej rzewności, jaka wybliska z glinianych płaskorzeźb Łukasza della Robbia, na których madonny i aniołowie, jak lilie, z bladomodrego tła wykwitają... Tonęła w gloryi poezji i szczęścia ta stara Fiorenza, jakgdyby przeczuwając kamiennym swem sercem wielkość tego młodziana, który

właśnie pod cieniem wyniosłych jej pałaców kroczył z gwiazdką boskiej nieśmiertelności nad czołem, a z niezmiernym światem piękna i mocy w głębi duszy...

Niewypowiedziane piękna była dnia tego kwiaty koronowana Fiorenza, a na niebie jej nie było już ani śladu owej burzy śniegowej, która po to tylko w nocy nad nią się rozhasała, aby spokój i jasność wlać w myśli wzburzone wielkiego artysty.

Przełożył z czeskiego
Z. P.

Z bieżącej chwili.

— Wystawa drukarska otwartą zostanie w Petersburgu w Lutym 1895 r., a trwać będzie sześć miesięcy. Wystawa podzieloną będzie na dwa naście oddziałów, składających się z grup różnych.

— W Petersburgu szczegółowo rozpatrywaną jest sprawa powierzania nauczycielom ludowym obowiązków pocztowych, a to przyjmowania i odbierania korespondencji zwyczajnej i assekuracji pocztowych. Jest to środek poprawienia ich bytu, ponieważ pensje, pochodzące z funduszków gminnych, są bardzo skromne.

— W Moskwie ma być otwarta szkoła wzniesienia budowli z materiałów niepodlegających łatwo sile ognia. Ministerium skarbu, oraz ministerium oświecenia wyznaczają na szkołę po 800 rs. Do szkoły mają być przyjmowani właściciele domów i różnych innych budynków rozmaitego typu.

— Trzeci most na Wiśle ma być wzniesiony naprzeciwko alei Jerolimskiej, roboty ziemne z celem zbadania gruntu pod budowę już się rozpoczęły. Po ukonczeniu badań prace przygotowawcze rozpoczną się zaraz na brzegu praskim i na łąkach Saskiej Kępy.

— W celu zasilenia funduszków War. Towarzystwa Dobroczynności ma być urządzona w połączeniu z zabawą kwiatową tombola, na którą fanty już się zbierają. Jest pewna anomalia w samym już wyrazie: zabawa na dobroczynność!..

— Dyrektor muzyki w kościele archikatedralnym naszego miasta, p. Piotr Maszyński, układa program śpiewów w stylu gregoriańskim, które będą wprowadzone podczas pewnych uroczystości.

— W dniu Wniebowzięcia N. Panny Maryi przybyło do Częstochowy około 2.000 pątników. Ołtarzyk Matki Boskiej, mieszczący się na zewnątrz kaplicy w szczycie, był w wigilię święta, oraz i w sam dzień odpustu rzeźbiście oświetlony i liczne rzesze pobożnych modliły się przed nim na klęczkach do późnej nocy. „Gazeta Radomska“ pisze, że również i w Radomiu lud gromadzi się co wieczór pod krzyżem, który jest zawsze uwieczony kwiatami i zielonością. Pieśń błagajna: „Od powietrza, ognia i głodu“ rozlega się do późnej nocy.

— W mieście naszym ma być urządzona na Krakowskim Przedmieściu stereoskopowa panorama widoków Rzymu i Watykanu; dwadzieścia pięć osób będzie ją mogło oglądać jednocześnie.

— Do kancelaryi War. Tow. Sztuk Pięknych przysłano dwa okazy rzeźbiarskiego talentu wiejskiego chłopca, pastuszka. Jednym z nich jest wyrzeźbiona z drzewa postać arcybiskupa Popieła w szatach pontyfikalnych. Jest to samorodny objaw talentu, który może wykazać się niepospolitym, bo natchnieniem przyszło samo.

— Krakowska szkoła sztuk pięknych przyznała medal złoty, to jest najwyższą nagrodę w dziale kompozycji, malarzowi S. Saskiemu. Medale takie otrzymali poprzednio: Radziejowski, Tetmajer i Wodzinowski.

— Szkoła rzemiosł pod kierunkiem p. J. Kühne, mieszcząca się przy ulicy Złotej, miała w roku bieżącym 11 nauczycieli a około 240 uczniów, a szczególnie w oddziale kutych ornamentacji żelaznych, odznaczają się nie tylko dobrem wykonaniem, ale i smakiem estetycznym. Zarobek ich z tego źródła dochodzi 1.000 rs. Rzemieślników i rękodzielników jest w mieście naszym 52.881, w tej liczbie 9.642 majstrów i właścicieli zakładów rękodzielniczych, 24.167 czeladników i subjeatów, 19.079 terminatorów i praktykantów. W porównaniu z rokiem przeszłym liczba zwiększyła się o 421 majstrów, 2.245 czeladników i 113 terminatorów, co razem znaczy, iż w ciągu roku zeszłego, 1893, przybyło miastu naszemu 2.555 rzemieślników. Wszystkie warsztaty i rękodzielnie Warszawy wyprodukowały w roku ubiegłym wyrobów za 51.563.150rs., więcej o 5.167.750 rs. aniżeli w 1892 r., a ogólna wartość narzędzi i maszyn warsztatowych oceniono na 2.729.820 rs.

— W ciągu lata liczba dzieci wysyłanych na kolonie letnie dosięgnie zamierzonej cyfry 1.803. Z powodu rozpoczynającej się już nauki w szkołach pewna liczba rodziców nie zgodziła się na wysyłanie dzieci w sezonie trzecim, zwracając otrzymane karty wyjazdu. Korzystają z nich najwięcej te dzieci słabowite, których zdrowie niewiele się poprawiło przez pobyt na wsi w sezonie poprzednim.

— Liczba osób przebywających w Zakopanem zwiększyła się znacznie w bieżącym miesiącu, w dniu 15: znajdowało się tam 2.734 osób, między którymi przeważa liczba kobiet. Goście narzekają na braki różne i na niedostateczny porządek w czytelnicy, na usługę w restauracyi kasynowej, biesiadą duchową było tu przeciw odczytanie przez Sienkiewicza rozdziału z jego najnowszej powieści „Que vadis?” skreślonej na tle stosunków rzymskich za Nerona. Do najsilniej i najświetniej skreślonych tu obrazów jest ten, gdy uchodzący z Rzymu S-ty Piotr spotyka na drodze Chrystusa i pyta go gdzie dąży: „Que

vadis?” Zbawiciel odpowiada, iż idzie do Rzymu, aby tam być raz drugi ukrzyżowanym i apostoł w obec tych słów boskiego mistrza wraca tam, z kądem uchodził, aby los jego się spełnił.

— Dwaj stypendyści Tow. Zachęty Sztuk Pięknych, rytownicy: L. Kochanowski i Ignacy Łopieński, otrzymali z końcem roku szkolnego w akademii monachijskiej odznaczenie.

— Paderowski przebywający w południowej Francji dostał bólu w rękach na jaki już cierpiał silnie dwa lata temu. Lekarz zabronił mu grać na czas dość długi.

— Międzynarodowy kongres opieki nad zwierzętami, zgromadzony w Szwajcaryi, w Bernie, podniósł między innymi kwestyami kwestyą wizysekcyi. Bardzo liczna parya członków kongressu nazwała wzysekcyę zbrodniczem barbarzyństwem, na co parya przeciwna odpowiadała również gorąco, iż tu idzie o postęp nauki, że zwierzę musi być poświęcone, gdy chodzi o dobro ludzkości, że wreszcie idzie ono na rzeź dlatego jedynie, aby potrzeby człowieka były zaspokojone. Ostatecznie przyjęto wniosek, aby towarzystwa opieki zajęły się gruntownie tą kwestyą i wypracowane w przedmiocie tym memoryały przedstawiły kongressowi.

— We wrześniu urządzoną będzie wystawa obrazów Jana Chełmińskiego, artysta ten wyższego talentu, uznanego i po za granicami kraju, szczególnie jako malarz koni, nie jest w dziełach swych dość znanym u nas.

— Wystawa rzemiosł i przemysłu Gór Kruższewych, otwarta we Freibergu, przedstawia szczególnie zajmujący dział przemysłu zegarmistrzowskiego, a z Chicago nadesłane tu okazy pokazują wielkie w tym zakresie postępy i udoskonalenia, tak w okazach zbytkowych, zwłaszcza zegarków kobiecych, jak drugostronnie niezmiernie skromnych. Okazy tu zgromadzone są bardzo ciekawe a to: chronografy, repetyery, kalendarze wieczyste: *secundae mortis*, wszystko wynalazki nowe, ukazujące postępy niemal przewyższające to,

co w danym zakresie mogło się jako rzeczywistość przedstawiać.

— *Mozarteum*, to jest muzeum pamiątek po wielkim mistrzu tonów, mieszczące się w Salzburgu, w domu gdzie się urodził, a gdzie zgromadzone wszystko co jest pamiątką po nim,—co odnosi się do historii dzieł jego i życia, mieści zarazem w murach swoich szkołę muzyki, która w ciągu dwunastu lat istnienia swego kształciła 4.000 uczniów, a z tych $\frac{2}{3}$ bezpłatnie, lub za znacznymi ulgami. Dla zwiększenia funduszu instytucyi i wytworzenia funduszu emerytalnego dla pracujących, wiekowych już nauczycieli muzyki, prof. Horner z Salzburga rozszerzył szranki stowarzyszenia, czyniąc je „Międzynarodowem Tow. Mozartowskiem.“ Idąc za tym przykładem, wytworzyło się wiele filii Towarzystwa nie tylko w różnych miastach niemieckich, ale w Paryżu, w Londynie, w Konstantynopolu, Bukareszcie, a nawet w stolicy Japonii, w Tokio. Wszystkie one zasiłają rocznymi składkami *Mozarteum* salzburskie.

— Palestyna posiada koleje żelazne; ma być zbudowaną linia, która przebiegałaby kraj cały od północy do południa, zaczynając się od Damaszku i ciągnąc się wzdłuż wybrzeża, — łącząc wszystkie linie boczne, aż po Suez. Tym sposobem Palestyna zostałaby połączona z kolejami egipskimi, więc z komunikacją żegludową więcej niż połowy świata, która koncentruje się w Kanale Suezkim, najważniejszej drodze wodnej na kuli ziemskiej Suez stałby się teraz portem Palestyny.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczy“ dołącza się Mamona, przez Mrs Aleksander przekład z angielskiego, ark. 3.

Cena **zniżona** rs. 5 (dotychczasowa była rs. 9) pocztą **rs. 6.**

Sprzedaje się na rzecz rodziny pozostalej po zmarłym autorze-wydawcy Dr Starkmanie dzieło p. t.

ENCYKLOPEDIA ILLUSTROWANA

Medycyny i Hygieny Popularnej

według dzieła D-ra PAWEŁA BONAMI Laureata Akademii Medycznej w Paryżu,

w opracowaniu D-ra Józefa Starkmana.

31 zeszytów zawierających 90 arkuszy druku w dużym formacie 8-o i 160 rycin objaśniających.

Można dzieło to nabyć od razu za rs. 5 w Warszawie (6 rs. z przesyłką pocztową) lub też częściowo po 6 zeszytów naraz, wnosząc za takowe po rs. 1 w Warszawie (rs. 1 kop. 25 z przes. poczt.), ostatni 31 wydany będzie bezpłatnie.

Prenumeratorowie, którzy zalegli w odbiorze zeszytów mogą nabyć obecnie zeszyty po kop. 16 w Warszawie a 20 k. pocztą—z prowincyi uprasza się żądać najmniej 5 zeszytów od razu.

Dzieło to zawiera niezbędne dla każdego wiadomości z Medycyny i Hygieny, wyłożone w sposób jasny i przystępny, głównie zaś sposoby udzielania pomocy w razie nagłej choroby i w braku lekarza.

TREŚĆ: Ambicya, przez M. I.—Pogawędka, przez ??—Bez woli, powieść przez Wandę Grot Bęczkowską (dalszy ciąg).—Z Włoch, Augusta.—Juljusz Zeyer. Śnieg we Florencyi, przez Z. P. (dokończenie).—Z **bieżącej chwili.**

Dodatek obejmuje: Mamona, przez Mrs Aleksander, przekład z angielskiego. Arkusz 3-ci. — Przegląd mód.—27 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.